

NATALIA NELDNER

MOJA ROZMOWA Z OJCEM

Praca na konkurs
„**HISTORIE RODZIN NA GÓRNYM ŚLĄSKU**”

LISTOPAD 2000 ROKU

- Jak to, skąd się tu wzięliśmy?
- Ach, skąd się wzięliśmy na Śląsku? Natuniu, precyzuj pytania. Ja się tutaj urodziłem, zresztą Gosia i ty też.
- No...? my to Ślązakami już chyba jesteśmy. Z Mamusią ... trochę gorzej.
- Dziadkowie? Hm..., to długa historia.
- Dla mnie ciekawa, bo dotyczy moich rodziców, a znaczna jej część to też moje życie. Ale dla ciebie? Życie w takim tempie i w takiej rzeczywistości, że dla was wczoraj, to zamierzchnia przeszłość o której się zapomina najbliższego ranka, a to co było 50 – 60 lat temu, to bajania które trudno zrozumieć.
- Natuniu, jeżeli starczy ci cierpliwości i chęci zrozumienia, to chętnie ci opowiem, ale uprzedzam, że nie będzie to opowiadanie sensacyjnego filmu, horroru czy kryminału. Ta historia to po prostu życie, w którym główni bohaterowie opowiadania nie zmieniali losów świata, a raczej byli przez ten los poniewierani i tylko czasem uśmiechnął się on do nich.
- Dobrze, opowiem. Zrób mi dobrej herbaty, a ja pomyślę od czego zacząć.
- Zaczniemy więc od naszego nazwiska. Neldner, to nazwisko raczej rzadko spotykane. Z tego co wiem to kilku Neldnerów jest w Poznaniu i Wielkopolsce. Na Śląsku ze swoim, przepraszam, naszym nazwiskiem, nie spotkałem się. Wszystko wskazuje na to, że nasz przodek był kolonistą niemieckim, przybyłym właśnie do Wielkopolski. Właśnie tak nazywał się kolonista niemiecki, który Drzymale sprzedał wóz. Wspierał on również Drzymałę moralnie i materialnie w jego walce z pruską polityką narodowościową, manifestując w ten sposób i swój stosunek do tej polityki. Kiedyś, gdzieś wyczytałem, a jest to chyba ironia historii, że potomkowie Drzymały zniemczyli się, a potomkowie Neldnera spolszczyli. I to by się zgadzało.

Twój pradziadek Edmund Neldner, będąc już warszawiakiem, pracując w fabryce „Lilpopa”, za udział w rozruchach narodowych i opór wobec zaborcy rosyjskiego w 1905 roku, skazany i wywieziony został do Archangielskiej Guberni. Wrócił stamtąd ze szkorbutem na początku I Wojny Światowej. Ożenił się potem w Warszawie z Zofią Adamczyk i mieli jednego syna Zenona – mojego ojca, a twojego dziadka.

O tak, już teraz ustalmy, bo możemy się pogubić, że wszystkich twoich przodków nazywać będę według tego kim byli, lub są dla ciebie.

Babcia – moja mama – jest z domu Majnert. Pradziadek Jan Majnert też był potomkiem kolonisty niemieckiego, który przyjechał na ziemię polskie i kupił majątek

ziemski w Osjakowie koło Wielunia. Prababcia, Maria Majnert z domu Koch, choć czuła się Litwinką, to też chyba miała niemieckie korzenie.

Tak czy inaczej, mimo, że mieli takie właśnie korzenie, zawsze czuli się i byli Polakami i za tę polskość ponosili ofiary. Ot, choćby brat babci – Tadeusz Majnert zginął we wrześniu 1939 roku w obronie Warszawy.

Ale wróćmy do tematu. Skąd się wzięliśmy na Śląsku?

Babcia i dziadek poznali się w 1944 roku w Warszawie. 10 sierpnia tego samego roku, w czasie Powstania Warszawskiego, w podziemiach kościoła na Żoliborzu wzięli ślub.

Gdy Powstanie konało, wraz z ludnością cywilną wychodzili z Warszawy. Z płonącego miasta wyszli w tym co mieli na sobie. I tak zaczęli swoją „nową drogę życia”. Nie była to dobra perspektywa – obóz przejściowy w Pruszkowie, a potem...?

I w tej beznadziejności, po tym całym piekle powstania uśmiechnął się do nich los. W trakcie marszu do Pruszkowa najpierw z transportu uciekła babcia, a potem, dzięki pomocy obcych ludzi, z kolumny uchodźców wyciągnęła dziadka. Przechowali ich nieznani ludzie, a potem przedostali się w rodzinne strony babci – do Osjakowa.

Tam, w Osjakowie, w dzień po zakończeniu wojny – 10 maja 1945 roku urodził się wujek Marek. Ale dziadkowie nie zostali długo w Osjakowie. Do Warszawy nie było po co wracać. Domy, w których mieszkali zostały wypalone i wysadzone w powietrze. Gdy Dziadek pojechał do Warszawy zaraz po jej wyzwoleniu, w rumowisku swojego domu odnalazł tylko parę drobiazgów z metalu.

Po parcelacji majątku w Osjakowie i śmierci pradziadka w czerwcu 45-tego roku, nie mając pracy, Dziadkowie przenieśli się do Częstochowy. Tam znaleźli pracę, ale na krótko. Dzięki pomocy krewnego babci – dla mnie wujka Artura Rudzkiego – Zagłębiaka, który po dąbrowieckiej „Szttygarce” pracował po wojnie w dozorze kopalni „Makoszowy”, w lutym 1948 roku dziadkowie dostali tu pracę, mieszkanie, więc przyjechali do Zabrza. Tak się znaleźli na Śląsku.

- Pytasz co dalej? Dalej? Popatrz, jakoś nigdy głębiej się nad tym nie zastanawiałem. Jakoś nigdy nie znalazła się okazja do przeanalizowania tego, choć to przecież również moja historia.

Z tego co wiem, dziadek był kierownikiem sekretariatu w kopalni „Makoszowy”, a babcia zatrudniona była w „Koksochemii” w Zabrze – Biskupicach. Budynek, w którym wówczas pracowała, przejął potem Instytut Chemicznej Przeróbki Węgla.

Związani byli z tymi instytucjami dość krótko. Dziadek przeszedł do „Gazu Koksowniczego”, a babcia do nowego przedsiębiorstwa „Gazobudowa”. Pojawiła się nawet szansa dla Babci, aby uzyskać przeniesienie służbowe, wraz z uzyskaniem mieszkania, do Warszawy. Ale to była wiosna 1951 roku i w maju „przyszło mi się” w Zabrze na świat. Tak ja zostałem Ślązakiem, a warszawskie plany „rozmyły się”.

Potem Dziadek przeniesiony został do pracy w Związku Zawodowym Pracowników Przemysłu Chemicznego najpierw w Sosnowcu, a potem w Katowicach, gdzie przez kilka lat był Redaktorem Naczelnym gazety „Sprawy Chemików”. Na początku lat 60-tych przeszedł do ZACH „Metalchem” w Gliwicach i pracując tam doczekał emerytury.

Babcia po moim urodzeniu zmieniła pracę i krótko pracowała w zabrzańskim „Dobrobycie”. Potem była przerwa na opiekę nad prababcią, a na przełomie lat 50-tych i 60-tych podjęła pracę na Politechnice Śląskiej w Gliwicach. Tam też pracowała do emerytury.

Główną troską dziadków było zapewnienie nam bytu – bieżącego i przyszłego.

Na bieżąco pracowali codziennie, dorabiali, dbali o dom i oto by można było w miarę spokojnie przeżyć od pierwszego do pierwszego. O przyszły byt dbać mieliśmy również i my tzn. wujek Marek i ja. Ten byt miało nam zapewnić wykształcenie – tak nam wpajali rodzice, mocno nas w nauce wspierając i zapewniając możliwości kształcenia. A nie było to łatwe.

Mieszkała z nami mama dziadka - prababcia Neldnerowa. Pradziadek Neldner zaginął w powstaniu warszawskim i do tej pory nie wiadomo, gdzie i co się z nim stało. Prababcię Neldnerową pamiętam jako drobną, szczupłą, wręcz kościstą kobietę w okularach w drucianej oprawie, nieco nerwową i bardzo schorowaną. Miała raka i bardzo cierpiała. Gdy jej stan wymagał stałej opieki babcia przestała pracować. Było wtedy bardzo ciężko. Wszystko co dało się spieniężyć – książki, sztucce, odzież – to czego dziadkowie się dorobili, dostali od rodziny, znajomych i obcych na zagospodarowanie – było sprzedawane. Normalną ceremonią około

20-tego każdego miesiąca było przetrząsanie wszystkich kieszeni, czy nie zawieruszyły się gdzieś jakieś pieniądze – drobne na chleb.

O, w tym czasie, aby uporać się z ogromem obowiązków związanym z opieką nad prababcią, nami (a ja wówczas bardzo często chorowałem - miałem wadę serca), z całym domem: praniem na „tarze”, gotowaniem bielizny w kotle, paleniem w piecach, sprzątaniem, gotowaniem... do pomocy przychodziła „pani Wilhelmina”. Jeżeli dobrze sobie przypominam nazywała się Wilhelmina Hepner – Niemka, która słabo mówiła po polsku. Bardzo ją lubiłem, a ona mnie chyba też. Ogromnie lubiłem przyglądać się jak rozpalala w piecu, z wielką wprawą łupiąc na podpałkę cieniutkie patyczki jak do papierowych chorągiewek. „Pani Wilhelmina” po 1960 roku wyjechała do Niemiec.

Prababcia Neldnerowa zmarła we wrześniu 1957 roku, a prababcia Majnertowa zmarła nagle w Warszawie niecały rok później.

W tym też okresie, dla odciążenia codziennego kieratu, udało się załatwić dla mnie przedszkole. Chodziłem do niego, gdy nie byłem chory, ale przebywanie w nim nie było dla mnie przyjemnością. Z wyraźniejszych moich wspomnień to dzień, gdy wszystkie dzieci musiały spokojnie siedzieć na dywanie w naszej sali i słuchać transmisji radiowej z pogrzebu Bieruta. Z innych wspomnień przedszkolnych pozostało mi leżakowanie, picie tranu i szczepienia. Raz kolega przedszkolny, też Krzysiek, przyniósł ze sobą do przedszkola piłeczkę pingpongową. Dla mnie to była pełna fascynacja – taka biała, gładka, lekka, twarda – a jak pięknie podskakiwała. Ja takiej nie miałem.

Babcia, chcąc dorobić pieniądze na utrzymanie, zabrała się za chałupnictwo. Malowanie chustek, serwet, powłoczek - na batyście i lnie. Dziadek opracował technologię: dobrał barwniki, przygotowywał szablony z kliszy ze zdjęć rentgenowskich i sposób utrwalania tego co się namalowało, aby w praniu nie zeszło. To była cała ceremonia. My z wujkiem Markiem też mieliśmy w tym swój udział. Odmaczaliśmy i czyściliśmy stare klisze zdjęć rentgenowskich, takie przeźrocyste, niebieskawe. W nich ostrym nożem Dziadek wycinał okienka przez które nanosiło się „tuptając” krótko strzyżonym pędzlem farbę na materiał. Kilka takich klisz, każda dla innego koloru, stanowiło komplet. Po wymalowaniu powstawały śliczne kolorowe koguty, jaskółki, cała rodzina dziadka, co rwała rzepkę w ogrodzie i inne ilustracje

bajek. To była taka domowa prymitywna technologia zbliżona do dzisiejszego sitodruku.

To jak babcia zdobywała materiały i jak sprzedawała gotowe produkty, to osobna sprawa. Wszystko wtedy było problemem, a zostać spekulantem i narazić się na „domiar” to była kwestia chwili i „życzliwości” sąsiadów.

Kokosów z tego nie było, sądzę, że ułatwiało to przeżycie od 20-tego do 1-szego, ale interes szedł i rozwijał się. Sąsiedzi nie byli „życzliwi” i z czasem sami weszli w ten interes. Nastąpił podział pracy. Babcia – zbyt i zaopatrzenie, Dziadek – technologia, szablony i utrwalanie, sąsiedzi i znajomi – malowanie. U Dziadków są gdzieś jeszcze resztki tej chałupniczej twórczości. Dlaczego to padło? Dobrze nie wiem, ale chyba pojawiły się wyroby przemysłowe tego typu, a może minęła moda?

- Ach, sąsiedzi. To znowu osobny rozdział.

Ulicę Żółkiewskiego w Zabrze wytyczały z obu stron po dwa długie budynki. W środkowej części ulicy było owalne rondo. Z lewej strony tego ronda, idąc w kierunku rosnących numerów, był parterowy budynek pralni, a z prawej zbiornik przeciwpożarowy – nazywaliśmy go „doły” – miejsce naszych zabaw. Wylot ulicy zamykały łąki hippiczne tzw. „Maja”. Może dlatego „Maja”, bo tam odbywały się festyny pierwszomajowe. Dalej był stadion Górnika Zabrze i kąpielisko. Wzdłuż ulicy były trawniki z płaczącymi wierzbnami. Tylko prawa strona ulicy miała chodnik z płytek betonowych i śliczne gazowe latarnie. Ulica była skanalizowana, choć nawierzchnia była utwardzona tylko tłuczniem. Po deszczu były tu ogromne kałuże – doskonałe miejsce zabaw. Trzy z budynków w rejonie ronda kończyły się sklepami, a budynek w którym my mieszkaliśmy – piekarnią. Na zapleczu budynków były wąskie podwórka o ziemnej nawierzchni, ciągnące się wzdłuż budynków. Z drugiej ich strony były ogródki. Tam chodziło się „na pic”.

- Tyle samo co „w dzierzawę” – na gruszki do pani Domagalskiej, kalarepę czyli „knole” do Wowków, agrest (zielony i kwaśny) czyli „wieprzki” do... popatrz zapomniałem. O, na wiśnie do Bulskich. Grzechy dzieciństwa... trochę adrenalinki, szczeniackiego współzawodnictwa i klęczenia na grochu jak nas przyłapano i dziadek się o tym dowiedział.

- Mnie przyłapał kiedyś Rysiek Wowka – o trzy, czy cztery lata starszy kolega – gdy podbierałem w ich ogrodzie „knole”. Wujek Marek był lepszy, częściej chodził ze

swoimi rówieśnikami (to była starszyczna) i raczej nie wpadał. Teraz z perspektywy czasu patrząc na te nasze wybryki, to ciekawa była ta nasza „moralność”. Do kogoś to był „honor” „pójść na pic”, a swojego ogródka to się broniło i łapało własnych kolegów. Taki rodzaj zabawy w policjantów i złodziei. Ale coś trzeba było robić – nie było telewizji. Drugą, a raczej pierwszą i najważniejszą rozrywką, do czasu, gdy nie dorobiliśmy się rowerów, była „gra w nogę”. Namiętnie bawiliśmy się też „w wojnę” – oczywiście z Niemcami.

Tak naprawdę, to osiedle zbudowane w latach trzydziestych, architektonicznie i funkcjonalnie było wspaniałe. W latach 60-tych położono asfalt, z lewej strony ulicy zrobiono chodnik, zlikwidowano latarnie gazowe, zawieszono jarzeniówki. Nowoczesność. W latach siedemdziesiątych, poprzez zabudowę „plomb” w rejonie ronda, najpiękniejsza ulica Zabrze, zamieniła się w architektoniczny koszmarek.

A mnie nadal jest żal tych gazowych latarni, zapalanych o zmierzchu przez „latarnika” z długim prętem i płomykiem na jego końcu oraz gaszącego te latarnie o świcie. Lubilem w zimowe wieczory czekać w oknie na „latarnika” i patrzeć na magiczne płomyki.

- Ach, sąsiedzi. Tak trochę się roztkliwiłem. Dobra. Wiesz dlaczego zacząłem mówić o budynkach?

Po prawej, zachodniej stronie ulicy były budynki o wyższym standardzie. Trzypokojowe, ustawne mieszkania z łazienkami i dużymi balkonami. W łazienkach były wanny i stojące węglowe piece do grzania wody na kąpiel. Taki piec, jako zabytek, ostatnio widziałem na folderze reklamowym Junkersa. No i ten chodnik wzdłuż budynku.

Z lewej strony były budynki z mieszkaniami bez wygód i znacznie mniejszymi. My zamieszkiwaliśmy po stronie prawej, zasiedlonej wcześniej przez repatriantów „zza Buga” i takimi przybyszami jak dziadkowie.

Lewą stronę ulicy niemal w całości zamieszkiwali „autochtoni”. Teraz mówimy Ślązacy, ale wówczas, to w najlepszym razie, po naszej stronie ulicy, mówiono o nich właśnie „autochtoni”, a częściej „Szwaby” i „Niemcy”. Te określenia na pewno nie wynikały z sympatii. Doświadczenia wojenne tych, którzy tu przybyli, może usprawiedliwiały taki stosunek do tych, co głównie mówili po niemiecku, choć teraz z perspektywy lat i wiedzy którą dużo później posiadałem, wiem że zarówno ci z prawej, jak i ci z lewej strony ulicy, to były tylko ofiary wielkiej polityki.

Na ulicy, w sklepie, choć nie wolno było, bez przerwy słyszało się język niemiecki. Ekspedientki zliczały swoje „słupki” mrużąc po niemiecku, kupowało się weki, kołoczki, kejkę, a ile to jest funt, to zorientowałem się, gdy w szkole uczono nas posługiwać się wagą. Moi rówieśnicy z lewej strony ulicy mieli egzotyczne dla mnie imiona: Achim, Hans, Truda, Günter. Mówili innym językiem i nie przepadalіśmy za sobą, choć nie wchodziliśmy sobie w drogę.

Trzymałem się rówieśników z prawej strony ulicy: Jacka, Jurka, Mariana, Piotrka, Leszka... I tak też było w szkole. Autochtoni mieli swoje towarzystwo, my swoje.

W najgorszej sytuacji był Tadek J. – rudzielec o bardzo żywym temperamencie. Nazywaliśmy go „Rus”, bo z rodzicami i młodszą siostrą dopiero co przyjechał ze Związku Radzieckiego, w ramach kolejnej fali repatriacji tych, co tam czuli się Polakami.

„Wilniacy” i „lwowiaci” już mówili prawie bez naleciałości, Ślązacy starali się mówić po polsku, a on... trudno powiedzieć czy kaleczył polski rosyjskim, czy rosyjski polskim. Odbiegał od nas w charakterze i w mowie. Wkrótce, nie bez naszej pomocy, stał się „czarną owcą” w klasie i zakałą szkoły. Pomogła mu też nie najlepsza opinia o jego ojcu, którego często widywano na ulicy po nie „jednym głębszym”. W domu u niego też było czasami zbyt głośno. Tak, czy inaczej, Tadek nie miał łatwego życia. Odpadł od nas przeniesiony do innej, chyba gorszej szkoły.

Spotkałem go jakiś czas temu. Ani nie bandyta, ani nie złodziej jak mu wrócono, lecz wykształcony, rozsądny ojciec rodziny.

Tak mówię ci o tym, bo mam takiego „moralnego kaca”. Nie potrafiliśmy się zintegrować, separowaliśmy się od siebie, a nawet krzywdzili.

Te problemy „narodowościowe” z czasem wygasły. W latach 60-tych wielu moich rówieśników z rodzicami wyjechało do NRD, a w 70-tych do RFN. I tak naprawdę trudno jest mi powiedzieć czy wyjechali, bo byli lub czuli się Niemcami, czy dlatego, że tam było lepiej. A może czuli się Ślązakami – Polakami gorszej kategorii.

Zrozumiałem to wiele lat później w 1974 r., gdy po studiach na Wydziale Górniczym Politechniki Śląskiej zacząłem pracować w Haldex’ie w Makoszowach. Tak trochę koło się zamknęło – Dziadek zaczynał w Makoszowach i ja też.

Tam razem ze mną pracowali ludzie z Kończyc, Pawłowa, Makoszków, Zabrze. Ludzie ci, byli tuż przed wojną i w czasie wojny dziećmi i wiele przeszli. Kiedyś, na nocnej zmianie, gdy zakład był remontowany i dozór miał niewiele do roboty,

usiedliśmy przy kawie w narzędziowni i jeden ze sztygarów opowiedział historię swojego brata, z którym właśnie spotkał się po trzydziestu latach. Wbrew swojemu ojcu, brat jego, zgłosił się w 1944 roku do niemieckiego wojska. Jak się ojciec o tym dowiedział, to w jednej chwili wyrzucił go z domu. Wtedy widzieli się po raz ostatni. Oni uważali się za Polaków, a syn zdradził. W 1945 roku, po wkroczeniu Rosjan, któregoś dnia, czerwonarmiści obstawili ulicę, na której mieszkała rodzina tego sztygara, dając im krótki czas na spakowanie i przygotowanie do wywózki do Niemiec. Przeżyli wówczas chwile grozy, ale wspólny opór mieszkańców ulicy zainicjowany przez ojca tego sztygara słowami „Chłopy, my som Poloki, my som u siebie”, spowodował, że jednak Rosjanie odstąpili od wywózki. Może pomogło i to, że pociąg nie został na czas podstawiony, ale w końcu Polacy zostali w Polsce.

Wiele tej nocy było opowieści; o granicy na Czarniawce, o polskich górnikach z polskich Makoszów, pracujących w niemieckiej Kopalni i codziennie przechodzących przez granicę do pracy i z powrotem. O zmuszaniu tych górników, pod presją utraty pracy, do posyłania dzieci do niemieckich szkół.

Wtedy zacząłem mieć wątpliwości. Dostrzegać złożoność losów Ślązaków, nabierać szacunku – rozumieć. I tak jak z Tadkiem – „Rusem” mam takiego samego „kaca”, czy to my wyobcowując ich, nie uczyniliśmy Niemców z mieszkających tu Polaków – Ślązaków. Może miałbym teraz znacznie więcej kolegów, również o takich imionach jak Hans, Günter czy Kurt.

- Dobrze, ale zrobisz mi jeszcze, córeńko, herbaty?

Dziadkowie, tak jak mówiłem, po prostu pracowali. Powoli wyzbywali się poczucia tymczasowości, podsycanego plotkami, że będzie wojna i pośpiesznym wykupywaniem towarów – zwłaszcza cukru. Zresztą trudno byłoby kupować coś innego, bo niczego w sklepach nie było.

Wujek Marek zawsze marzył o pływaniu – chciał być marynarzem. Po maturze w 1963 roku wyjechał do Państwowej Szkoły Morskiej w Szczecinie. Był to pierwszy rocznik tej szkoły. Dostał się i spełnił swoje marzenia. Ożenił się w Dębnie Lubuskim z Haliną - córką repatriantów ze Stanisławowa, na stałe zamieszkał w Sopocie i będąc Kapitanem Żeglugi Wielkiej zdecydowanie za wcześnie odszedł na „wieczną wachtę”. Jego jedyna córka Agnieszka, wyszła za mąż i wyjechała do męża do Nowego Jorku. Wujek Marek mieszkał na Śląsku jedynie 15 lat i wobec spełnionych marzeń życia, był to jedynie epizod w jego życiu.

Okres, gdy Marek był w szkole morskiej, był dla nas bardzo ciężki. Utrzymanie studenta kosztowało. Babcia dorabiała po godzinach pracy pisaniem na maszynie.

Zostałem w domu jak jedynak i tęskniłem za bratem. Potem, gdy Marek zaczął pływać byłem z niego dumny, a kolorowe, błyszczące widokówki ze świata podnosiły mój prestiż wśród kolegów. Szczytem moich marzeń było, aby z rejsu przywiózł mi gumę do żucia. Teraz to wydaje się śmieszne, ale takie wtedy były nasze marzenia.

Ja po podstawówce, a byłem ostatnim rocznikiem siedmioklasowej podstawówki (zawsze mówię, że jestem „niedouczony”), poszedłem do tego samego co Marek II Liceum Ogólnokształcącego w Zabrze. Po maturze w 1969 roku zdałem na Politechnikę. W trakcie studiów, 1 lipca 1972 roku poznaliśmy się z Mamusią. Był to pierwszy dzień jej pobytu w Gliwicach. Przyjechała z Miechowa na egzaminy wstępne na Automatykę. I tak się to zaczęło. Zdała, rozpoczęła studia i w 1974 roku pobraliśmy się. W tym też roku obroniłem pracę magisterską i podjąłem pracę w Haldex'ie.

Mieszkaliśmy z Dziadkami, a w 1975 roku poszedłem na rok do wojska.

Szczęście nam dopisało i w 1976 roku dostaliśmy w Gliwicach swoje M-3. Sami je urządzaliśmy. Remont po budowlańcach, to była wtedy rzecz normalna. Sam robiłem meble. Mamusia przeszła na studia wieczorowe i pracowała na Politechnice w Bibliotece Głównej. Choć skończyła studia i jest inżynierem automatykiem, to do tej pory tam pracuje.

W lipcu 1979 roku, w szpitalu w Chorzowie urodziła się Gosia – druga po mnie Ślązaczka w naszej rodzinie. Aż wierzyć się nie chce, że ta pannica już jest na trzecim roku studiów.

W międzyczasie przeszedłem do pracy w KWK „Zabrze - Bielszowice”. Tam zastał mnie stan wojenny. Potem pracowałem w Państwowych Magazynach Usługowych w Zabrze – Mikulczycach. Zrobiłem studia podyplomowe z organizacji i zarządzania.

W 1985 roku w Gliwicach urodziłaś się Ty – trzecia Ślązaczka.

Z Gliwic, w 1989 roku, przeprowadziliśmy się z powrotem do Zabrze – do M-4 w blokowisku na osiedlu Curie-Skłodowskiej. Kolejne mieszkanie, które sami urządzaliśmy, bez pomocy fachowców – tym razem przez 50 miesięcy.

To upodobanie do majsterkowania wyniosłem z domu rodzinnego. Dziadek jak

wiesz nie potrafi „nic nie robić”. Przy nim bardzo wiele się nauczyłem. Sprawia mi to przyjemność, a zarazem oszczędza koszty życia.

No, a teraz zaczęliśmy znowu wszystko od początku. Tym razem dom wymagający stałej pracy, pielęgnacji i ciągłego zachodu. Mam nadzieję, że to już ostatni etap wędrówki i że znaleźliśmy na Helence swoją przystań. Zresztą zanim go wyremontuję i doprowadzę do wymarzonego stanu, minie sporo lat i obym ich tylko dożył....

Natalia Neldner